

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 181.

№ 19. | Warszawa, 1 października 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Na ryku.

Albert Mniszek.

JARZĄBEK.

(Tetrastes - Bonasia).

(Ciąg dalszy).

Jarząbek zamieszkuje Europę od Pirenejów, południowych stoków Alp i Bałkanów począwszy, aż do północnych jej krańców. Na Krymie go niema, również nie zamieszkuje wysp Wielkiej Brytanii i Jutlandyi. Znajduje się bardzo obficie w całej Syberyi (z wyjątkiem najbardziej na północ wysuniętych jej okolic), w północnych Chinach i Japonii. Niema go na Kamczatce i półwyspie Czukczów.

Olbrzymi ten obszar nie jest jednak przez jarząbka jednostajnie zamieszkany. W wielu okolicach zupełnie go brakuje, a mianowicie tam, gdzie warunki miejscowe nie odpowiadają jego sposobowi życia, a więc w okolicach bezleśnych, lub bezwodnych stepach etc. Natomiast w niektórych okolicach, jak w całej Rosyi północnej i Syberyi, znajduje się bardzo obficie.

U nas, w Galicyi, ptak to pospolity, a w naszych Karpatach nader obfity. Znajduje się też na naszem Podgórzu i na niżu, prawie we wszystkich większych lasach w Galicyi, ale już nie w tak pokaźnej liczbie, jak w górach.

Stwierdzonym zupełnie i ciekawym bardzo jest faktem, że w wielkim kompleksie lasów, graniczącym niemal z podgórzem karpackiem w powiecie mościckim i samborskim (Radochońce, Krukienice, Balanowice, Czyszki, Rogużno etc.) o przestrzeni łącznej około 5,000 morgów, zupełnie go niema. Wszystkie wydają się być tam dla jego egzystencyi potrzebne dane, jak zapusty i starodrzewia bukowe i leszczynowe, dużo wód i potoków, i doprawdy niezrozumiałą jest rzeczą, dlaczego go tam niema.

W zachodniej Europie jarząbek jest także bardzo rozmaicie rozmieszczony. W Pyreneyach, na wyżynach Auvergne'i (Mont d'or) w francuskiem Jura, w Wogezach, po lewym brzegu Renu ptak to pospolity, ale nie nader obfity. Tak samo w całych Alpach szwajcarskich, tyrolskich, włoskich i austryackich. Natomiast w Styryi, Karyntyi i Krainie występuje znacznie obficiej, a miejscowość Götteniz w południowej części tej ostatniej uważaną być może za najwięcej obfitujący w jarząbki, rewir w południowo-zachodniej Europie.

Łowieckie gospodarstwo stoi tam bardzo wysoko, odstrzał kogutów jest ograniczony, a kury doznają bezwzględnej ochrony.

Okoliczność powyższa, jak również stwierdzony dziś bardzo obfity stan jarząbków w wielu naszych okolicach górskich, obala twierdzenie Wodzickiego, który powiada, że jarząbek, z powodu swej głupoty i nieostrożności, nigdzie rozmnożyć się nie da [1].

Znakomity nasz ornitolog - myśliwy wspomina o rewirze, w którym szanował jarząbki przez lat 7, a mimo to stan ich ani trochę się nie poprawił. Przypuszczam, że tak samo byłoby z innem ptactwem, gnieżdżącem się na ziemi w każdym naszym górskim lub podgórskim rewirze, który obfituje w wszelkiego rodzaju drapieżniki, a w którym inne jeszcze, nam nieznane powody wpływać mogą niekorzystnie na rozmnożę. Zresztą i twierdzenie, jakoby jarząbek był ptakiem głupim i nieostrożnym, w świetle najnowszych badań pokazuje się niesłusznem, o czem pomówimy niżej.

Jarząbek zamieszkuje obficie całe Bałkany, mniej go już znacznie w górach czeskich i na czesko-morawskiej wyżynie, a spotykamy go już tylko gdzieniegdzie w lasach Frankońskich i Turyngskich. Więcej go znowu na Szląsku, w Poznańskiem i w prowincyi pruskiej. Na Pomorzu niemieckiem częścią bardzo rzadki, częścią zupełnie wybity.

Na półwyspie skandynawskim, w nadbrzeżnych okolicach na południu i południowym zachodzie zupełnie wyniszczony lub nadzwyczaj rzadki, natomiast wnętrze półwyspu z wyjątkiem okolic najbardziej północnych posiada stan jarząbków jeszcze bardzo pokaźny.

Ale ojczyzną tych ptaków to północne obszary europejskiej Rosyi. Miliony jarząbków rok rocznie

[1] Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty 1850 r.

CASUS FATALIS.

(Obrazek z życia petersburskich myśliwych).

(Dokończenie).

Na raport niedługo inżynier czekał; doniesiono w nim, że łosie zaczynają się potrochu wabić i na próbne wabienie odpowiadać, z czego można wnosić, że jeśli pogoda potrwa w dalszym ciągu, to za kilka dni można się spodziewać gorętszego wabienia i skutecznie zapolować. Niezmiernie ucieszony tą wiadomością, ze zdwojoną energią zabrał się do załatwienia pilniejszych spraw, aby kilkodniowa nieobecność nie zatamowała biegu zwykłych czynności, i w oznaczonym terminie zabrawszy ekspres i śrótówkę, — pojechał.

Po przybyciu na miejsce, zaraz zwołał walną naradę, na której postanowiono wysłać tylko służbę na podsłuchy, a dopiero nazajutrz zrana, stosownie do złożonych raportów, ułożyć plan wyprawy.

Zdawało się naszemu myśliwemu, że nie będzie mógł zasnąć, udając się wcześniej, niż zwykle, na spoczynek, tymczasem, zapewne wskutek odurzenia świeżem powietrzem, skoro tylko dotknął głową poduszki, sen skleił powieki. Jeszcze słońce nie weszło gdy wabiarz wszedł z oznajmieniem, że wszyscy, którzy chodzili na wywiady, są zebrani przed domem i herbata czeka gotowa. Zerwał się na równe nogi inżynier i śpiesznie zarzuciwszy na siebie ubranie, kazał zdawać raporty, z których się okazało, że w jednym tylko rewirze wysłuchano rogala, ale dostać się do niego można jedynie pieszo i łodzią, do której doprowadzi przewodnik.

Niepocieszające wieści, zamiast zniechęcić inżyniera, wywarły przeciwny skutek, bo jakkolwiek nieobyty praktycznie z tem polowaniem, z opowiadań myśliwych dokładnie wiedział, że na nie nigdy się nie idzie na pewniaka, bo łoś to zwierz tak wielce kapryśny, że bardzo często wobec na pozór sprzyjających okoliczności i najdokładniejszego wabienia, powraca się do domu z niczem, gdy znowu innym razem wcale niespodziewanie, jak ostatni głupiec, pędzi na oślep, jakby o zadanie śmiertelnego ciosu prosząc formalnie. To też nasz myśliwy, wiedząc z opowiadań o tych łosich grymasach, załatwiwszy się prędko ze śniadaniem, gorączkowo chwycił za sztucer i polecił czemprędzej się prowadzić.

Jakkolwiek wyprawa ta nie wchodzi w zakres mojego opowiadania, dla ścisłości jednakże nadmienię, że pomimo słyszenia dwóch nawet wabiących się rogali, wypadła ona tak niefortunnie, że musiano pozostawić łosie w spokoju do dnia następnego i wcześnie powrócić do domu. Inżynier tylko do wabiarza nabrał

bywają tam na sidełka łowione i po targach europejskich rozsyłane. Najbogatsze w jarząbki gubernie są: Ołoniecka, Wołogodzka, Wiacka i Permska [1]. Na północ sięga ten obfity w jarząbki obszar, aż prawie do krańca stałego lądu; całą Litwę. Wołyń i gubernie, położone między Dnieprem a Wołgą włączyć należy do tego obszaru, którego granicą południową jest morze Czarne, Kaspijskie i Kaukaz. W tym ostatnim również na Krymie zupełny brak jarząbków.

Wobec takiego rodzaju rozmieszczenia słusznem i logicznem wydaje się twierdzenie br. Krüdenera, wielkiego znawcy jarząbków rosyjskich, że ptak ten jest właściwym mieszkańcem równin, a w niektórych okolicach Europy przenosił się w góry tylko z konieczności, powodowany wycięciem lasów. Trzeba jednak zauważyć, że i w górach ptak ten zupełnie się zaaklimatyzował, a przestrzeń zamieszkania jego w kierunku pionowym dochodzi do linii porostu drzew, a więc wyżej, aniżeli granica pobytu głuszców.

(C. d. n).

[1] W gub. permskiej, wołogodzkiej i ołonieckiej spotyka się odmienny gatunek t. zw. jarząbka ciemnego (*Tetrastes griseiventris*), opisany w r. 1880 przez prof. Menzbiera z Moskwy.

(Przyp. red. „Łowca Polskiego“).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

6 września. Guy wyrusza o 5-ej rano; my zaś, t. j. misyonarz, Henryk i ja, zwijamy obóz o godz 7-ej. Sępy, marabuty i różne inne—ścierwniki oczekują tylko na nasze odejście, aby się rzucić na obozowisko, gdzie wkrótce, oprócz kości, nic nie zostanie, dzięki im, oraz muchom, mrówkom, rozmaitym chrząszczom, żyjącym szczątkami zwierzęcemi.

Kierujemy się w stronę lasu mimozowego, który był teatrem wczorajszego polowania na lwy. Po drodze strzelałam do antylop Granta, a braciszek zabił dwa dik-diki, gdy naraz mój osiołek robi piruetą, a jednocześnie słyszę krzyk Hassaniego: „Simba! Kubwa sana!“. Niestety, nic nie widziałam, a to dzięki mojemu kłapouchowi. Misyonarz puszcza się gąszczem w poszukiwaniu lwa, gdy tymczasem Henryk, usadowiwszy się pod drzewem, uosabia w sobie bezdenną obojętność. Jesteśmy przecież w Afryce! Żyje się tu w tak ciągłej styczności z wielkimi drapieżnikami, że równie obojętnie słucha się o pojawieniu lwa, jak o dik-diku! Co do mnie, to mam w ręku swój małokalibrowy karabinek, więc nie pozostaje mi nic innego, jak dreptać na miejscu.

Wkrótce powraca misyonarz, który widział migającego w gąszczu lwa, lecz nie miał czasu na strzał. Dostał przytem paroksyzmu febry, co go zmusza do powrotu. Ruszamy dalej, spotykając nieprzeliczone tropy nosorożców, zebr. antylop Granta, małp i t. p.

Jeden ze strzelców Guya dogania nas z bilecikiem, w którym mąż mój prosi o tragarzy, aby przenieść trzy duże antylopy „mpalahs“ (z których jedna rekordowa)— wszystkie trzy zabite jedną kulą na odległość jakich 120 metrów. W czterdzieści minut potem przybywamy nad brzeg dużej kałuży, uformowanej w łożysku Mugitani River. Wkrótce potem nadciąga i Guy, nie znalazłszy swej lwicy, która napewno zdechła gdzie w gąszczu, gdyż jej towarzyszka sama jedna kręciła się koło miejsca, gdzie dnia poprzedniego lew wydał swe ostatnie ryknięcie.

Opowiadamy Guy'owi „o naszym lwie“. Mąż mój szybko zjada śniadanie i rusza w swoją stronę.

Stado bydła, należące do Suków, podchodzi do wody w bliskości naszego obozu. Pastuch, pilnujący tego stada, posiada strój w najwyższym stopniu małowniczy, składający się ze sznura pereł na szyi, z drugiego sznura wkoło pasa, i z sandałów. Najciekawszą jest jednak koafiura, której sporządzenie zabiera mu zbyt wiele czasu, aby pomyśleć o kompletniejszej tualecie. Włosy jego są wtłoczone w rodzaj siatki, wymazanej warstwą wapna. Siatka ta, przypominająca filc swą konsystencyą, zrobiona została stopniowo, po

---

kompletnego zaufania, albowiem dowodnie się przekonał nietylko o jego fachowych zdolnościach, ale nadto odkrył w nim jeszcze dużo dodatnich cech prawdziwego myśliwego. To też, będąc dobrej myśli, zjadł z apetytem podany obiad i odpocząwszy nieco, dla zabicia czasu wybrał się jeszcze na zloty kaczek na poblizkie jezioro.

Nazajutrz pierwsze brzaski dnia zastały już wyprawę, przepływającą przez jezioro, nad którego powierzchnią unosiły się leniwie mgliste opary. Uroczysty spokój powietrza nakazywał zdwoić ostrożność w pochodzie, co w takich zapadłych moczarach przedstawiało niesłychaną trudność; jednakże uważnie i powoli postępując, udało się obu myśliwym dojść pomyślnie do miejsca, zkąd się wabienie miało rozpocząć. Porozumiewając się na migi, znaleziono dogodne, małe wgłębienie, zewsząd obrosłe gęstą wikliną, i w niem ukląkł wabiarz w przodzie, a tuż za nim inżynier.

Po pierwszem zaraz zawabieniu, usłyszano natychmiast odpowiedź, ale z dość znacznej odległości, co właśnie wabiarz uznał za tak pomyślną oznakę, że nawet ją szeptem ośmielił się wyrazić. Rogal, nie zbaczając wcale, szedł wprost na myśliwych, tylko strasznie wolno i bez zwykłego, charakterystycznego łamania gałęzi. Widocznie musiał to być jakiś stary wyga, bo co moment przystawając, uważnie się wsłuchiwał. W ten sposób postępując, zbliżył się do przycupniętych myśliwych na jakie czterdzieści kroków i przystanąwszy w gąszczu tak, że go nie widać nie było, ani rusz dalej nie myślał postąpić. Inżynier, z naprężoną uwagą i z palcem na cynglu, trzymał sztucer na pogotowiu, a wabiarz, jak skamieniały, napróżno usiłował wzrokiem zbadać przyczynę zatrzymania się łosia, co, przeciągając się zbyt długo, spowodowało sytuacyę tak dla obu nieznośną, że inżynierowi zaczęło serce bić, jak młotem, a wabiarz trząsł się, jak w paroksyzmie febry. Nareszcie ten ostatni z obawy, aby rogal wypadkiem w bok czasami nie skręcił, postanowił uciec się do ostatecznego środka, jakim jest przytłumione zawabienie, które w takich razach podobno z pożytkiem bywa stosowane. W tym celu nachylił się jeszcze więcej ku ziemi i zaczerpnąwszy powietrza w płuca, chciał z niskiego tonu zadąć w trąbkę. Wtem, o zgrozo! — zamiast z trąbki, wybuchnął tak silny i donośny odgłos z przeciwnej strony ciała wabiarza, że aż w ciszy leśnej głośnem echem się odbiło. Rogal, sapnąwszy z przestrachu, dał w tył takiego drapaka, że aż gałęzie trzeszczały, inżynier zdrętwiał ze zdumienia, a sprawca złego runął twarzą na ziemię, jak piorunem rażony. Nasz myśliwy w pierwszej chwili nie wiedział, co mu wypada czynić: złorzeczyć, śmiać się, czy też nos chustką czemprędzej zatykać? Gdy dostrzegł jednakże nieruchomie leżącego człowieka, serce wzięło górę i rzucił mu się na ratunek, mniemając, że ze zbyt wielkiego wzruszenia paraliżem został rażony. Skoro nim lekko potrząsnął, wabiarz nieco uniósł głowę i załzawionemi oczyma nieśmiało i błagalnie spojrzał na in-

części z włosów, odziedziczonych po przodkach, a po części z czupryn, obciętych na głowach poległych nieprzyjaciół. Cztery pióra strusie wetknięte były we włosy. Od dołu tego olbrzymiego kołtuna, w którym właściciel przechowywał swój tytuń, patyczki do robienia ognia i t. p., a który zwieszał się aż do połowy pleców,—wychodził zgięty ponad głowę, duży drut żelazny, cały ubrany sierścią żyrafy i zakończony białym pęczkiem z turzycy zająca.

Na trzecim palcu prawej ręki miał pierścień, z którego wystawało małe, zagięte ku tyłowi ostrze, służące do krajania mięsa. Brak mu jednak było używanej tu przez wielu, bransolety, która jest poprostu kolistym nożem, ukrytym zwykle w skórzanym futerale. Trzymał też nasz wojownik pod pachą mały trójnożek, na którym zasiadł, aby mnie się przyjrzeć. Proponuję mu kupno tego trójnoga, lecz nie chce mi go sprzedać za żadną cenę, utrzymując, że nie mógłby spać, gdyż mebel ten służy mu zarazem za poduszkę! Za cenę trzech sznurów niebieskich pereł nabywam wreszcie od niego pierścień.

Jeden tylko Filip jest w stanie zrozumieć jego narzecze, które wszelako nie jest zupełnie czystym językiem massai.

Guy daje mi znać, że ma zamiar zostać na zasadzce, posyłam mu więc prożektor, oraz inne, potrzebne na to rzeczy. Chciałam właśnie wyruszyć na zwykłą przedwieczorną przechadzkę, gdy lunął tradycyonalny deszcz. Nie pozostaje mi więc nic innego do roboty, jak przyglądać się sępom, które z wysokości skał śledzą swym przenikliwym wzrokiem za dramatami równiny... Prawdziwy obraz Mérite'a w naturze.

Człowiek z plemienia Suków przynosi nam wyśmienitego mleka. Ma on głowę okrytą rodzajem kasku ze skóry barana: nakrycie to opuszcza się aż na plecy, aby chronić misterny szynion od deszczu.

7 września. Udaję się na spotkanie Guy'a, lecz, doszedłszy do „bomy", znajduję tam tylko jego przybory, wzięte na zasadzkę: wracam więc do obozu. Wreszcie o godzinie pół do jedenastej nadciąga mój mąż. Oto w jaki sposób zużył czas od godziny 3-ej dnia wczorajszego.

„Znalazłszy tropy lwa (dużego samca, którego przednie nogi różniły się znacznie od tylnych), puściłem się za niemi, lecz wkrótce zgubiłem je w łożysku wyschłej rzeki Mugitani. Posłałem wtedy po przybory, niezbędne na zasadzkę, a tymczasem zabiłem antylopę Granta, którą zawiesiłem na drzewie tuż przy brzegu najbliższej wody. Szybko zbudowałem „bomę" z kolczastych gałęzi, a odesławszy swych ludzi, zasiadłem w oczekiwaniu zwierza. Noc wkrótce okryła swym całunem okolicę, deszcz padał. Była to noc bez rezultatu, niemniej jednak ogromnie interesująca, gdyż z czterech różnych stron dochodził mnie ryk lwów — raz bliżej, to znów dalej — markując godziny i półgodziny, niby jakiś zegar. Ten koncert zaczął się o 9-ej, a skończył dopiero o 5-ej nad ranem. Gdy dobrze rozedniało, ruszyłem na poszukiwanie świeżych tropów, które w samej rzeczy znalazłem o 500 mtr. od bomy. Zasadzka moja znajdowała się ze złym wiatrem w stosunku do głównej kwatery lwów, które wskutek tego nie mogły zawietrzyć przynęty. Deszcz wczorajszy, w połączeniu z dzisiejszem słońcem, utworzył na gruncie rodzaj skorupy, na której ślady były niewidoczne; tropiłem więc tylko w ciągu godziny.

Następnie raniłem mpalaha na 200 metrów; mimo, że farbował z początku bardzo, tracę go, lecz natomiast udaje mi się być świadkiem niezmiernie ciekawej sceny. Usłyszawszy jakby naszczekiwanie całej psiarni, biegnę w tę stronę w przekonaniu, że to stado lycaonów (dzikich psów—hyen), które operuje mego postrzałka, gdy tymczasem, przybywszy na miejsce, spostrzegam ze dwadzieścia mpalahów-samców, oddających się prawdziwym harcom satyrów: uderzenia głów, skoki tam i na powrót, następują po sobie z niebywałą szybkością, gdy tymczasem pośrodku stoi zgrupowane stado samic, nie ruszając się z miejsca. Popatrzywszy na te zapasy dobrych pięć minut, wybieram jednego z najpiękniejszych samców i posyłam mu kulę, która, niestety, rani go tylko, a natomiast zabija jedną z samic. Tropienie postrzałka nie daje znów rezultatu. Chcę się więc odbić na szakalu, którego widzę na 100 metrów, lecz chybiam go kompletnie. Następnie zabijam, *leżącego w gnieździe termitowem*, phacochera, którego, o hańbo, wziąłem za lwa. Można sobie wyobrazić moją głupią minę, gdy, podszedłszy do gniazda, ujrzałem wstrętną głowę tej świni. W samej rzeczy, był to jakiś feralny dzień, gdyż w chwilę potem strzelam na 300 metrów do nosorożca, stojącego wpośród mimoz, biorąc go za elanda. Raniony zwierz uchodzi, a ja puszczam się za nim, a przybywszy na tropy, poznaję swój błąd. Sądzę, że moja kula nie zrobiła na nosorożcu większego wrażenia, jak ładunek grubo tłuczonej soli na kundlu. Chybiam jeszcze do dik-dika, poczem wracam do obozu".

(C. d. n.)

żyniera, myśląc zapewne, że tenże rozwścieczony, lada chwila rzuci się na niego z pięściami. Tymczasem nasz myśliwy, widząc komiczne jego położenie, łagodnym głosem kazał mu powstać i z uśmiechem na twarzy zapytał o jego zdrowie. Wabiarz, dotknięty do żywego tą mimowolną ironią, wybuchnął spazmatycznym płaczem i rzuciwszy się do kolan, tak je silnie począł ściskać i całować, że o mało inżyniera nie powalił na ziemię, a przytem rzewnie łkając, prosił, jak o największą łaskę — przebaczenia.

Finał tej komicznej sprawy wypadł dla obu stron zadawalająco, albowiem zawarto zaraz na miejscu katastrofy kompromis, na mocy którego inżynier przyrzekł: zupełne przebaczenie, zachowanie do pewnego czasu tajemnicy; nadto przyrzekł dawać wabiarzowi każdorazowo na parę dni wcześniej przed polowaniem po pięć rubli, aby on mógł używać do woli mięsa, jako pokarmu więcej skoncentrowanego, za co znowu druga strona solennie się na początek zobowiązała, że w ciągu najdalej kilku dni zwabi inżynierowi łosia pod same nogi.

Didko.

Choroby zimowe sarn.

Profesor dr. Ott zbadał dokładnie przyczyny chorób sarn, których mnóstwo zdechło zeszłej zimy w różnych stronach Niemiec. Przyczyny były różnorodne.

G z y n o s o w e (*Cephalonica stimulator*), które zaobserwowano dotąd tylko u bydła i świń, znajdowano tego roku także w otworach nosowych i pyskowym sarn. Z początku ukazywały się poczwarki, długie do 2 mm. Po upływie miesiąca rozwinęły się one w dojrzałe pasorzyty, których rozmnożenie się w krtani wywoływało konwulsye śmiertelne, a niekiedy spowodowały śmierć raptowną.

R o b a k i p ł u c n e (*Strongylus filaria* i *micrurus*), bardzo niebezpieczne pasorzyty, pojawiały się czasami tak licznie we grdyce i oskrzelach, że tworzyły grube kulki, tamujące oddech i sprowadzające nieraz uduszenie. Pasorzyty te mogą wywołać niebezpieczną zarazę bydła i zwierzyny.

Robaki biczowe (*Trichocephalidae*) zdarzają się często w kiszkach sarn i zajęcy, wywołując u ostatnich śmiertelne zapalenie. Czy mogą one powodować także śmierć u sarn, nie zostało stwierdzone.

Masowe zdychanie sarn w Hessyi wywołane zostało głównie przez chorobę kiszek. Bakterye chorobotwórcze wytwarzały jad w kiszkach chorych sarn, który, rozchodząc się po całem ciele, dał w ostatecznym wyniku wypadek śmierci.

Zaraza ta nazywa się *enteromykosa sarnia*. Prof. Ott przypuszcza, że bakterye znajdują się lokalnie w ziemi, skąd rozchodzą się pod wpływem pogody, zwłaszcza w czasie łagodnej i mokrej zimy.

Jako środek zaradczy, zaleca się ogrodzenie miejsca hodowli sarn, gdyż tutaj z powodu bujnej roślinności, sarny przy żerowaniu nie pochłaniają zarodków tych bakcyli i innych szkodliwych grzybków, rosnących tuż przy ziemi, co natomiast zdarza się łatwo podczas żerowania w lesie bez gęstego podszycia. Rozumie się, że możliwe jest także zarażenie się przy korytach, urządzonych dla paśników oraz lizawek.

J.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

23 lutego. Obóz nasz jest uroczo położony nad stromym brzegiem rzeki Iala, która o milę dalej do morza wpada. Wije się srebrną taśmą czystej i chłodnej wody pod sklepieniem bujnej wegetacyi, tworzącej jakby naturalny dach zieloności nad jej korytem, wzdłuż którego wznoszą się olbrzymie kumbuki i inne, nieznane mi gatunki drzew rozłożystych, o białej korze i wysoko z ziemi wystających korzeniach. Ulubione to mieszkanie małp, których kolonie tuż pod naszym obozem w konarach wysokich drzew się znajdują. Jest to wprawdzie mały rest-house, lecz tak zniszczony i nędzny, że wolimy pod namiotem zamieszkać.

Wczoraj przed wieczorem odwiedziłem wspomnianego lorda Cairns'a, którego zastaliśmy jeszcze w Iali, obozującego z ogromnym taborem i świtą na przeciwległym brzegu rzeki. Tabor jego duży i liczny, jak osada. Dwadzieścia bryk wołowych i przeszło stu ludzi tworzy karawanę myśliwską. Lordowi towarzyszy drugi Anglik, planter, na Cejlonie zamieszkały, który mu całą wyprawę urządził i jako obeznany z miejscowością, nią kieruje. Sześć tygodni są już w dżungli i obecnie wracają ku Hambantocie. Zapewniają mnie, że najbogatsze w zwierzynę rewiry rozpoczynają się dopiero od Iali i ciągną się w głąb kraju do Mandagala i wzdłuż morza po rzekę Kumbukkan. Pokazują mi swe liczne i pyszne trofea: Cztery słonie, siedm bawołów, jednego lamparta, wiele jeleni, skórę z aligatora olbrzymich rozmiarów, — chyba dwa razy taki być musiał, jak ten, którego onegdaj nad brzegiem jeziorka widziałem. Skóra mierzy 18' długości, z obwodem cielska, jak u sporego wołu. Opowiadają mi, że owo monstrum od kilku lat było postrachem okolicy, jak smok legendowy, napastując ludzi i zwierzęta, i nawet rzucało się na pławiące się bawoły. Siedziało zwykle w rzece, czasem tylko nocną porą przechodząc do niewielkiego jeziorka, opodal rzeki Kumbukkan. Tę chwilę wyczekiwali Anglicy, i gdy alligator przeszedł do jeziorka, poczęli nań czatować. Postrzelili go śmiertelnie, lecz umknął do wody. Pragnąc posiąść koniecznie ciekawą zdobycz, wpadli na koncept równie oryginalny, jak dowcipny: postanowili poprostu spuścić jeziorko. Spędzono kulisów i po kilku dniach robót woda wyciekła, odkrywając olbrzymie cielsko martwego już alligatora.

Podziwiam rozumne urządzenie obozowe Anglików i praktyczne przyrządy rozliczne, do życia pod namiotem zastosowane. Przedewszystkiem zazdroszczę im refrygeratora, czyli przyrządu do chłodzenia napojów; i piekarza, dzięki któremu codzień świeże pieczywo mają do stołu. My staramy się ochładzać trunki rozmaitemi sposobami, równie sztucznemi, jak bezskutecznemi, a miasto świeżego pieczywa, mamy suchary. Lecz drobny to szczegół wobec dokuczliwego braku dobrej wody w dżungli. Żaden filtr nie wystarcza, by ją do picia zdatną uczynić; zresztą wody w dżungli bezwarunkowo pić nie należy. Nietylko do herbaty i do kuchni, ale nawet do mycia i kąpieli nie jest przydatna.

Źródeł w dżungli niema; wszelką wodę bierze się ze stojących kałuży i drobnych jeziorek, w których resztki z sezonu deszczów cały zapas wody na okrągły rok stanowią. Jedynie w pobliżu rzek woda bywa przynajmniej świeża i czyściejsza, i dlatego obóz nad Ialą tak przyjemny, bo daje sposobność skosztowania lepszej wody i użycia rozkosznej i chłodnej kąpieli.

Pożegnałem Anglików, którzy dziś do Butawy się przenoszą. Rankiem cały obóz ruszył oglądać ubitego wczoraj słonia. Z trudnością odnaleźliśmy naszą ścieżkę wczorajszą i dobili się do leżącego zwierza. Wypychacze wzięli się do obcinania nóg i trąby, które, jako trofea, pragnę z sobą zabrać i dać wyprawić.

Nasz kucharz w ambarasie, bo od czasu bawołu pustki w śpiżarni, świeżego mięsa nie mamy. Całe dzisiejsze popołudnie latałem za pawiami, ale jakby naumyślnie, żadnego na strzał podejść nie zdołałem. Mnóstwo ich widać, spacerują na otwartych polanach i łąkach, ale niech się tylko pokaże myśliwy, choćby o paręset kroków, umykają pieszo do gąszczu.

W Iali widzimy pierwszą od Hambantoty ludzką osadę w dżungli: dwie czy trzy lepianki, więcej do ziemnych kryjówek, niż do chat, podobne, i tyleż szałasów dla bydła, stanowią mieszkanie kilku rodzin napół dzikich krajowców, przypominających bodaj więcej małpy, aniżeli ludzi. Mimowoli skłania się człowiek do teoryi Darwina na widok tych istot, których gesta, ruchy i cały sposób życia o wiele więcej sąsiadów małpiego rodu, niż ludzi przypomina.

Ludzie trudnią się oryginalnem rzemiosłem łowienia dzikich bawołów, przyswajania ich i wprawiania do robót polnych, co się im też zupełnie udaje i znacznego zarobku przysparza. Widziałem całe stado takich przyswojonych bawołów, które szczególnie w drugiej i następnych generacyach, skrzyżowanych z domową rasą, wyrabiają się na doskonałe do użycia domowego, zwierzęta. Prymitywny sposób łowienia wymaga od tych ludzi niesłychanej siły i zręczności. W środku dżungli przywiązują do drzewa przyswojoną bawolicę i nocną porą czatuje krajowiec, na temże drzewie zasiadłszy, aż dzika sztuka do przywiązanej podejdzie. Zarzuca jej wówczas gatunek lassa na rogi, czy kark, i do drzewa przyczepia. Jeżeli sztuka młoda, starają się ją przyswoić, starsze zaś wypuszczają, jako niemogące się nagiąć do niewoli.

Sznury do łowienia bawołów sami kręcą ze skóry sambura, i tak mają być mocne, że ich nawet słoń zerwać nie jest w stanie. Widzieliśmy jednej z poprzednich nocy złowionego młodego byczka. Stał przywiązany do drzewa z karkiem w drewnianym karkanie, ubezwładniającym go zupełnie, i dziko przed siebie spoglądał, kopiąc i rwąc ziemię racicami. Głodem go wpierw morzą i tem nasamprzód poskramia-

ją, a potem przywiązują do drugiej, starszej już, oswojonej sztuki, która go zawsze i wszędzie przy sobie prowadzi i do niewoli przyzwyczaja. Czasami lat potrzeba, nim się taki bawół choć w części przyswoi, ale prawdziwie, jako zwierzę domowe, dopiero w drugiej generacyi, w niewoli spłodzonej, użytym być może.

Śpieszno nam dotrzeć do rewirów, wychwalonych przez Anglików, i jutro posuwamy się znowu o jeden etap dalej do miejscowości, zwanej Palle-Patana.

(C. d. n.)

Polowanie w Meksyku.

(Dokończenie).

Przed wieczorem puściliśmy się konno i z karabinkami w rękach na zbadanie okolicy. O jakie dwie wiorsty od obozu spotkaliśmy stado dzikiego bydła, złożone z dwudziestu byków i krów, oraz jednego cielęcia. Przyglądały się nam spokojnie, ustawiwszy się w znakomitym szyku bojowym; widocznie i one mają instruktorów. Gdy odjechaliśmy dalej, stado zawróciło także i pomknęło galopem w góry; teraz dopiero przekonałem się, jak lekkiem zwierzęciem jest byk urodzony i wyrosły na swobodzie.

Rozpoznawszy okolicę, ku wieczorowi ściągnęliśmy do obozu, gdzie zastaliśmy wszystko w porządku. Należało jednak jeszcze zabezpieczyć się od grzechotników. Uzbroiwszy się w dobre kije, przeszukiwaliśmy sąsiednie krzaki, gdy naraz uczułem ukąszenie w łydkę. Patrząc dalej przed siebie, nie spostrzegłem pod nogami węża i widocznie nastąpiłem mu na ogon. Na szczęście byłem w wysokich butach, ukąszenie było słabe, a zanim grzechotnik zdołał wyciągnąć zęby z cholewy, schwyciłem go za kark i skręciłem mu kręgi. Jako zbawienny środek od ukąszeń gadów, wszyscy tu mają przy sobie nalewkę spirytusową na trawę grzechotnika *(Hierba vibora)*. Płótnem, zwilżonem kilkoma kroplami tej nalewki, przemywa się miejsce ukąszone, następnie przykłada się szmatkę, również zwilżoną, na rankę, i cała sprawa kończy się lekkim bólem głowy.

Tymczasem towarzyszący nam Indyanie przyrządzili pieczeń jelenią. W tym celu wykopali dół odpowiedniej wielkości i obok niego na ognisku rozpalili kamienie. Kamieniami temi wyłożyli dno dołu, na nich umieścili comber i udziec, posolone i starannie obwinięte liśćmi z różnych roślin. Na to ułożyli znów warstwę rozpalonych kamieni i wszystko to pokryli warstwą liści i ziemi. Po godzinie pieczyste było gotowe i rzeczywiście bardzo soczyste i smaczne.

Następnego dnia już od samego świtu wyruszyliśmy na poszukiwanie zwierzyny. Lasy tutejsze są rzadko porośnięte drzewami, ale zawalone leżącemi kłodami, a cisza w nich zabijająca. Jest to prawdziwa puszcza, po której noga ludzka jeszcze nie stąpała. Jedyną istotą, zdradzającą w niej życie, jest ptak, ostrzegacz, ubarwiony niebiesko, z białym brzuchem. Widocznie natura stworzyła go dla ostrzegania innych istot żyjących o zbliżającem się niebezpieczeństwie. Jeżeli człowiek siedzi lub stoi na miejscu, jeden lub dwa z tych ptaków umieszczają się w pobliżu, i w razie zbliżania jakiego zwierzęcia, zaczynają wrzeszczeć, ostrzegając człowieka. Jeżeli przeciwnie, człowiek jest w ruchu, ostrzegają w ten sam sposób będącą w spoczynku zwierzynę. Jednem słowem zachowują zupełną bezstronność. Krzyk ostrzegacza z początku zdaje się zabawnym, w końcu jednak nuży i staje się nieznośnym. Kilka razy składałem się, żeby uspokoić kulą krzykacza, ale obawiałem się spłoszyć wystrzałem rzeczywistą zwierzynę. Południowe niepowodzenie przypisuję tym nieznośnym ptakom.

Dwugodzinny deszcz przerwał nasze poszukiwania. Wysuszywszy się następnie i posiliwszy, udaliśmy się ku skałom i urwiskom, w których, jak mówiono, łatwo spotkać czarne niedźwiedzie. Ja, z winczesterem w ręku, kroczyłem na przedzie. Zaledwie weszliśmy między skały, gdy nagle, w odległości zaledwie kilku kroków, wysunął się z za urwiska niedźwiedź, i jakby zdziwiony widokiem nieznanej istoty, stanął, przyglądając mi się. Nie dałem mu dużo czasu do namysłu; kula, wpakowana pod samo ucho, pozbawiła go wolnego i zapewne szczęśliwego żywota. Skórę z niego obciągnęliśmy na miejscu.

Na noc, dla bezpieczeństwa, otoczyliśmy namiot ogniskami. Około pierwszej godziny obudziło mnie tupanie koni i bieganie ich w kółko na arkanach. Schwyciwszy sztucer, wyskoczyłem z namiotu i w świetle ognisk spostrzegłem wychylony z za krzaka łeb byka, który, zwabiony blaskiem, zbliżył się do obozowiska. Zmierzyłem mu między oczy. Po strzale byk przez chwilę stał nieruchomy, potem zwalił się na miejscu. Strzał był na 40 metrów. Huk winczestera wywołał ogromny rejwach w obozie; muły zaczęły się rwać na arkanach, a ludzie wszyscy pozrywali się na równe nogi. Wkrótce jednak wszystko się uspokoiło, a że nie warto było układać się do snu ponownie, kazaliśmy osiodłać konie i wśród ciemności, przez góry i doliny, puściliśmy się do miejscowości odległej o jakie trzy mile. Ztamtąd odesłaliśmy konie, a sami, gdy się zupełnie rozwidniło, skierowaliśmy się, zataczając duży łuk, z powrotem ku obozowi. Posuwaliśmy się wolno, bacznie wypatrując przed sobą. Pochód był bardzo trudny: krzaki miejscami rosły tak zwarte, że tylko siłą, ramieniem naprzód, można się było przedzierać przez nie, a gęsto rosnące kaktusy boleśnie kaleczyły nogi. Po paru godzinach takiego pochodu, spostrzegliśmy nareszcie stadko jeleni, złożone z pięciu sztuk. Podchodziliśmy je całe pół godziny z wielką ostrożnością, a zbliżywszy się nareszcie na dość blizki dystans, ja i moi dwaj towarzysze wystrzeliliśmy jednocześnie. Trzy sztuki padły na miejscu, a dwie uciekły.

Następnego dnia deszcz lał od samego rana do 3-ej po południu. Kiedy nareszcie ustał, wyszliśmy na wzgórza, lecz rozpadało się na nowo i musieliśmy wracać do obozu, przemoczeni, jak flisy.

Za to następne dnie były pogodne, choć bardzo gorące. To też jeszcze parę z nich poświęciliśmy polowaniu. Z grubszej zwierzyny nic już nie zabiliśmy, ale za to padło kilkanaście „pekari", małych tutejszych dzikich świnek, bardzo brzydkich i zarazem bardzo smacznych. Oprócz tego, zabiliśmy kilka wspaniałych orłów.

Powrotną drogę do domu odbyliśmy wśród strasznego upału. Powróciliśmy d. 16-go września, czyli dziesiątego dnia po wyruszeniu na wyprawę. Byliśmy bardzo znużeni, a jeszcze bardziej pomęczone były konie i muły. Konie przez ostatnie trzy godziny szły ze spuszczonemi głowami, co u tutejszej, pełnej życia i energii rasy, oznacza ostateczne wyczerpanie.

Taką jest, opowiadana w skróceniu, historya naszej wyprawy łowieckiej.

A. Sztolcman.

Psy stepowe.

(Dokończenie).

Drażliwe na wilgoć, przeczuwają te czworonogi doskonale na dłuższy czas przedtem zmiany tempera-

tury: służą więc za wcale zaufania godny barometr. Kiedy żywność z folwarku własnego skonsumowana, pies stepowy przenosi się z rodziną na inne miejsce, otoczone roślinnością, i tu buduje dom nowy.

Do wnętrza mieszkania dostaje się pies stepowy przez otwór lejkowaty do tunelu, który zbudowany jest ukośnie, tak, aby zwierzątko mogło łatwo się wsunąć w głąb i łatwo wyleźć. W pewnej oddali od otworu tunel ukośnego kierunku zmienia się na krużganek poziomy; od tego krużganku wiodą po obu jego bokach otwory do właściwego mieszkania: do izb, w których ich lokatorzy śpią, chowają się przed wrogiem, mrozem i deszczem. Rozmiary mieszkań odrębnych są rozmaite, jak to z własnej obserwacyi stwierdza historyograf naszego psa stepowego. Kilka tylko miał sposobność dokładnie wymierzyć i te przedstawiają się tak: tunel skośny ma długości przeszło 4 metry, poziomy około 4 metrów, średnica krużganku wynosi przeszło 10 centymetrów, izby mieszkalne są znacznie przestronniejsze i wyższe; z krużgankiem poziomym łączą się te izby pobocznemi korytarzykami, które bywają najrozmaitszej długości, niekiedy zaledwie kilku centymetrów, gdzieindziej znów kilku metrów. Izby wszystkie mają kształt okrągławy. Najciekawszem miejscem jest rodzaj małego pokoiku, w tunelu skośnym, tuż niedaleko wyjścia: jest to czatownia. Do tej izdebki wpada zwierzę nasamprzód, gnane strachem, i stąd ostrożnie wychyla głowę nad otwór dla uspokojenia się, jeżeli niebezpieczeństwo jest istotne. Badacz amerykański napotykał w kopcach liczne izby „opuszczone", „zasypane": są to miejsca, gdzie spoczywają nieżywi członkowie rodziny, którzy zdołali, chorzy czy ranieni, dowlec się do własnego domu.

Pies stepowy jest zwolennikiem nader systematycznego życia: noc dla niego do spania, a dzień służy do spełniania funkcyj życiowych, t. j. szukania żywności i zabawiania się w gronie dobrze znanem, rodzinnego lub zaprzyjaźnionego koła. Ale i zabawa przesadna, w nieodpowiedniej porze, może mieć złe następstwa, więc też kiedy gorąco doskwiera, nasz pies odbywa w dzień siestę w chłodnem mieszkaniu, a wychodzi na przechadzkę tylko po zaraniu i wieczorem. Skoro słońce zapada za widnokrąg, wszystkie psy stepowe tak dobrze w całej stolicy, jak i w najnędzniejszej wiosce, są w domu, kładą się spać,—ale skoro świt, wszystkie są na nogach.

I oto zaczyna się widowisko przedziwne, mało kiedy komu dostępne. Cisza niezmierna jeszcze w powietrzu, słońce zaledwie muska pierwszemi, łagodnemi promieniami ziemię. Nagle nad szczyty tysięcznych kopców wychylają się ze wszech stron małe główki, ruchliwe, strzyżące uszkami, ruszające wąsami... i zwolna ukazuje się cała postać. Ostrożnie, czujnie tuż obok głównego wejścia swych domków, przysiadają pieski na tylnych łapkach i rozglądają się bystro na wszystkie strony świata, z szyją, o ile tylko można, wyciągniętą, by widzieć jaknajlepiej i jaknajdalej! Wrogów zawsze wokoło dużo; przezorność jest cnotą i męstwem zarazem u tego bezbronnego zresztą zupełnie zwierzątka. Z łapkami skrzyżowanemi na piersiach, obserwuje ono pilnie, z natężeniem: nasłuchuje, węszy, wciąga wiatr nozdrzami, rozgląda się i po sąsiadach i w dal. Kiedy czaty skończone, kiedy nic podejrzanego nie można dojrzeć w całej okolicy, ruchem zwinnym, szybkim nadzwyczaj, zeskakują psy stepowe ze swych kopców i... biegną... po żywność... i na igrzyska ulubione i na pląsy. Domu nie tracą jednak z oczu; w stronę domu zwracają się często wszystkie. Niezliczone tysiące bawią się, żerują wesoło.

Tylko czaty, rozstawione wokoło, śledzą na wsze strony, badają całą okolicę. Wtem coś zaniepokoiło całe towarzystwo, coś podejrzanego zbliża się... Przeraźliwy, krótko urywany krzyk czatujących wzbija się w powietrze; w skokach, jak piorun, szybkich psy stepowe już są na szczytach swych kopców. Mignęły jeszcze raz ogonki nad szczytami i cisza, jakby tu nigdy żadnego nie było życia. Ale choć przestrach niemały, ucieczka bez tchu, ciekawość przemaga nad wszystkiem. Ze swej izdebki pod dachem wyglądają znowu główki tysiączne, snać pomylili się, może to jaki figiel, żarcik czyjś niewczesny tak nas przeraził? Więc nowe badania, nowa obserwacya. A bystrość ich spostrzeżeń jest niemała: umieją one doskonale odróżnić zjawiska, choćby najgroźniejszej postaci, ale im nieszkodliwe, od niebezpieczeństwa istotnego. Jak już mówiliśmy, bawią się psy stepowe najspokojniej obok toru w chwili przejazdu pociągu: doświadczenie nauczyło ich, że z tego huku i stuku, z tego dymu i iskier, któremi tak grozi olbrzymi potwór — niema sobie co robić. Strachy na Lachy — powiedziały sobie pieski stepowe zaraz w kilka tygodni po zapoznaniu się z koleją żelazną, przecinającą ich państwo.

Są inni wrogowie, niewidzialni prawie, drobni, ale straszni: pies stepowy wie, że największa baczność nie uchroni go przed niszczycielem jego rodu; jest nim zwierzę, także nieduże, zwane „kayot"—coś na kształt pół-psa, pół-lisa, o barwie futerka zupełnie ciemnej, nadnaturalnej przytem szybkości w biegu. Kiedy przycupnie do ziemi, psy stepowe nie widzą go wcale. Wówczas wróg podsuwa się do ucztujących—i nagłym skokiem jest w samym środku przerażonych tłumów: następuje rzeź bezlitośna, tysiące a tysiące psów stepowych ginie zaraz w zębach żarłocznych, a zawsze głodnych kayotów.

Takimi samymi wrogami psów stepowych są borsuki. Ociężałe to stosunkowo zwierzę, nie zadaje sobie wcale trudu, by za psami stepowemi gonić. Ono wygodnie, pomału rozgrzebuje swemi potężnemi łapami i pazurami kopiec psa, rozszerza, jak może, wnętrze krużganku i dusi swe ofiary wprost w ich własnym domu. W taki sam sposób niszczy psy stepowe mały czworonóg z rodzaju prawdziwych psów dzikich, który może, dzięki małości swej, bez burzenia kopca wejść z łatwością w krużganki; ten malutki piesek wybiera kolosalny haracz *in natura* ze społeczeństwa psów stepowych; najprawdopodobniej wyniszczyłby je też doszczętnie, gdyby sam nie podlegał srogiemu prawu ludzkiemu, które nakazuje nielitościwe tępienie szkodników.

Obok tych czworonogich wrogów psa stepowego, trzeba jeszcze wspomnieć jednego srogiego nieprzyjaciela ich rodu. Jest nim wąż z gatunku grzechotników. Płaz ten wślizguje się w krużganki domostw psów stepowych i dusi przedewszystkiem młode ich latorośle. W pewnych okolicach, w Texas, grzechotnik ten żywi się wyłącznie tylko psami stepowemi. Walka tych stworzeń jest niezwykle interesującą. Grzechotnik wpada w chwili, kiedy spostrzeże nieobecność rodziców, do galeryi kopca i, podusiwszy swe ofiary, ucieka, jak może najśpieszniej, z nory. Nie obawia się on zębów psa stepowego, wie dobrze, iż z tej strony nic mu nie grozi. Czego innego się lęka śmiertelnie i to go tak nagli do gorączkowej ucieczki z wnętrza kopca: oto pogrzebania żywcem przez rozżalonych i mściwych rodziców, przez krewnych pomordowanych ofiar. Skoro tylko pies stepowy spostrzeże, że grzechotnik znajduje się w krużganku kopca, wydaje krzyk właściwy w takich razach tylko. Na ten krzyk cała dzielnica śpieszy do domu zagrożonego i zanim wąż zdołał wydostać się z kopca, już ze wszech stron sypie się nań ziemia, wszystkie otwory krużganku zasypane szczelnie zbitą, twardą gliną. Ucieczka niemożliwa, śmierć nieuchronna, śmierć tuż obok pomordowanych przed chwilą ofiar, — czeka grzechotnika żywcem zamordowanego. Badacz amerykański znalazł dużo takich zamurowanych galeryj, które stały się grobem krwiożerczych wężów.

Pies stepowy, mały i zupełnie bezbronny, otoczony tak licznymi wrogami (nie wymieniliśmy bowiem wszystkich takich, jak koty dzikie, sępy, jastrzębie), zdołał nietylko utrzymać się na terenie przez się zajętym, ale, jak to sumienne studyum Harta Merriama świadczy, a inne źródła statystyki rolniczej po-

twierdzają, zwiększa nawet liczebnie, i to stale, z roku na rok swoją ludność i coraz bardziej rozpościera swe zagony, coraz szersze opanowuje dzierżawy.

Tę odporność zawdzięcza pies stepowy głównie swym cnotom społecznym: wielka solidarność wszystkich stwarza w nich siłę, która jest w stanie stawić czoło nietylko wrogom ze świata zwierzęcego, ale nawet różnym klęskom żywiołowym, jak: długie deszcze, wylewy i zimna. Trzeba widzieć, jak te stworzenia sobie pomagają wzajem, w razie potrzeby nagłej, przy wzmacnianiu kopców, przy odprowadzaniu nadmiaru wody z sąsiedztwa domów swych, aby należycie ocenić, co zdoła łączność drobnych nawet zwierzątek. *Concordia res parvae crescunt*...

Do pomyślności psów stepowych przyczyniło się także niemało posunięcie granicy uprawnej roli ku zachodowi, ku pustynnym ich krainom. Mądre pieski odrazu poznały się na wartości rolnych plonów człowieka i zaczęły wybierać z pól kultywowanych bardzo obfitą dziesięcinę. Kukurydza, zboża wszelkiego rodzaju stały się ich ulubionem pożywieniem. Ale kradzione nie tuczy... Właśnie ta pomyślność psów stepowych, ucztujących do woli na terenach pracy ludzkiej, zrodziła też i niechęć nowego sąsiada, i gniew jego, a w końcu nieprzyjaźń stanowczą, otwartą, która, kto wie, czy nie skończy się wkrótce powszechną wyprawą obywateli Unii przeciw psom stepowymi doszczętnem wytępieniem tychże.

Bardzo rachunkowi Amerykanie obliczają nader gruntownie, że pies stepowy, acz jest drobny, zjada jednak mnóstwo: 32 takich piesków pożera tyle, co jeden baran, a 256 psów stepowych potrzebuje rocznie takiej ilości roślinnego pożywienia, jak wół. Jeżeli więc uprzytomnimy sobie, że w samej swej stolicy (w Texas) to psie społeczeństwo liczy 400 milionów indywiduów, to prosty rachunek, że żywność ich roczna starczyłaby na wykarmienie półtora miliona sztuk bydła. Cyfra imponująca: psy stepowe wyciągają przeto z kieszeni wolnych obywateli Unii miliony dolarów rocznie. Jak tu wobec tego przypatrywać się spokojnie szkodom, coraz liczniejszym na nowinach, z takim trudem zdobytych pod kulturą rolną, jak nie myśleć o odwecie?... Idą więc skargi za skargami do ministeryum centralnego i zarządów stanów pojedyńczych. Pies stepowy zaczyna przybierać w wyobraźni ludzkiej cechy prawdziwie złośliwego stworzenia: niedawna uciecha rolnika, zmieniła się na pierwszorzędnego szkodnika. Psy stepowe niszczą nietylko ziarno, lecz trawę, kartofle; one przeszkadzają swojemi kopcami do nawodnienia krainy, one psują dreny i kanały; otwory ich domów, to nikczemne zasadzki, w których konie i bydło łamie nogi; im trzeba przypisać tyle upadków nieszczęśliwych z konia, tyle rąk połamanych, nóg zwichniętych... Słowem, psy stepowe, wkrótce będą powodem posuchy, ulew, złych urodzajów i t. p. klęsk żywiołowych. Wojna przeto na śmierć, kują się więc nowe ustawy; smażą w retortach chemików nowe trucizny i... wkrótce może społeczeństwo wesołe, szczęśliwe psów stepowych, dopiero co bliżej poznane — przejdzie do historyi i do... muzeów.

DZIEŁO SCHILLINGSA

o zwierzynie na wolności.

(*Streszczenie*).

IV. Masai - Nyika.

Masai-Nyika to step ogromny, wspaniały, ale i niebezpieczny dla wędrującego po nim myśliwca. Grozi mu tu bowiem brak wody do picia, malarya i inne niewygody. Spotyka się za to niezliczone ślady i tropy wszelakiej zwierzyny.

Widzi się mnóstwo drzew, leżących pokotem, jak zboże po przejściu burzy; jest to znak, że tędy szło stado olbrzymich słoni, które swem cielskiem i trąbami poobalały drzewa. Ślady nóg słoni, powstałe w porze dżdżystej, gdy ziemia jest miękka, trwają rok cały z powodu swej głębokości.

Oryginalne są także ślady drugiego gruboskórca, nosorożca, zwłaszcza przed wodopojem. I to zwierzę również wyrywa drzewa w pochodzie, jak słonie.

Topografia stepu wschodnio - afrykańskiego jest bardzo urozmaicona. Górzysta jest kraina Kilimandżaro, która właściwie się nazywa Kilima N'djaro (Kilima=góra); największa jej wyżyna, Kibo, wynosi przeszło 6,000 metrów. Druga z rzędu jest góra Mawenzi. Szczyty są pokryte śniegiem, co stanowi istotnie obraz fantastyczny: lód w pobliżu równika!

Tutaj też mieszczą się wulkany i kratery, sfotografowane przy świetle księżycowem, w Kilimandżaro, Meru i Ol Dònjo l'Engai, Mutiek, Gilei i Timbati. Okolice te obfitują w niesłychanie bujną roślinność. Charakterystyczne są tutaj znane „małpie drzewa“ (*Adansonia digitata*), które są nader ważne dla podróżników; za korą bowiem zawierają dużo wody deszczowej, będącej nieraz jedynym napojem na stepie.

Ilustracye do rozdziału IV-go: 1) „Z lewej strony na widnokręgu odzwierciadlają się niebieskie tafle wodne, — setki zebr i kilka strusiów przewijają się, jak cienie, w nieskończonej przestrzeni przy gorącym żarze słonecznym i niezliczonych promieniach świetlnych, — jest to *fata morgana* stepu wschodnio-afrykańskiego...“. 2) „Ze szczytu góry oglądam Nyikę“. 3) „Drzewa nadbrzeżne, oplatane pnączami, przeglądały się w wodzie; na wierzchołkach zaś akacyj pędzą żywot koczkodany, koty morskie i liczne towarzystwo wspaniałych małp jedwabistych (*Colobus palliatus Ptrs.*)..., o kilka zało metrów zaledwie od biegu rzeki rozpościera się, jak wszędzie w Afryce wschodniej, pustynna Nyika...“. 4) „Zbiorniki wody wśród skał, napełnione płynem mętnym, żółtym, świeżo zostały nawiedzione przez *słonie i nosorożce*. Lecz, jak zawsze, zwierzęta wywędrowały natychmiast z rewiru, gdy w pobliżu rozbiłem obóz...“. 5) Obraz roślinności z typowego *stepu sukkulentowego* w czasie deszczu. Na pierwszym planie stoi *Caralluma codonoides*“. 6) „Najwyższy niemiecki świat górski, szczyt Kibo w Kilimadżaro, wysoki na 18,000 stóp, którego punkt najwyższy wierzchołek, Cesarz Wilhelm, leży na 6,010 metrów nad powierzchnią morza...“. 7) „*Step sukkulentowy z Pyrenacantha malvifolia* — kłębami, podobnemi do ogromnych kamieni, a wydającemi kilka wąsów (łętek) podczas deszczu“. 8) „Tak zwane kolczaste „*stepy sadowe*“. 9) „Stepy ze *wzgórkami termitowemi* w pobliżu wybrzeża“. 10) „Jedynie gęstemu krzakowi ciernistemu, do którego uciekłem przed napastującym mnie nosorożcem, zawdzięczam swe ocalenie“.

V. Pożary stepów.

Żar, panujący na stepach, spala roślinność nieraz doszczętnie. Wieczorem ukazują się łuny. Pożary trwają całemi dniami. Ogniska, będące przyczyną pożarów, rozpalają zarówno tubylcy, jak podróżnicy, w rozmaitych okolicznościach. Nieraz pożary trwają kilka tygodni, niszcząc wszystko po drodze. Z czasem wiatr rozpędza popioły, po których ślad nie zostaje.

Pożary takie są istnem świętem radosnem dla zwierzyny. Zbiegają się w znacznej liczbie marabuty, bociany, sępy, ptaki drapieżne wszelkich gatunków, a przedewszystkiem kanie, które rzucają się na szarańczę nawpół upieczoną z powodu pożaru, oraz na

inne, drobne zwierzątka, osłabione i usmażone z tegoż powodu. I mniejsze gatunki ptaków, jak jaskółki, przylatują wesoło, racząc się zastawionym przez naturę stołem. Zachowanie się ich świadczy, że pożary nietylko nie są dla nich groźnym objawem, lecz że owszem, przyzwyczaiły się do ich widoku.

Ssaki stepowe albo uciekają przed pożarem, dokąd zresztą wracają po pewnym czasie, by żerować świeżo wyrastającą trawę, — albo chowają się w norach, nad któremi pożary przechodzą nieszkodliwie. Stada pawianów obojętnie przechodzą koło pożarów. Kapitan v. Beringe widział goryle, spokojnie obozujące w pobliżu wulkanu Kirungi. Szympanse również sobie nic nie robią z sąsiedztwa ogniowego.

Pożary te są głównie szkodliwe dla roślinności; zniszczyły one doszczętnie już niejeden las dziewiczy w Afryce wschodniej. Zarazem jednak ognie te tępią dużo zwierząt szkodliwych i spalają mnóstwo zarodków chorób.

Dla podróżników nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa, chyba że obóz jest ustawiony za blizko, a wiatr wieje bardzo silny. Pewnego razu podszedłem tak blizko, że dym o mało mnie nie udusił, a buty i ubranie się przypaliły. Innym razem musieliśmy w nocy zwinąć obóz i ratować się ucieczką. Nie zdążyłem przytem zabrać wielu przedmiotów, a między innemi nabojów, które potem eksplodowały w ogniu.

Palące się pnie drzew wyglądają w nocy, jak latarnie, i mogą służyć za drogowskazy w ciemności. Ślad dymu i sadze, unoszące się w powietrzu, nieraz silnie zanieczyszczają ubranie, twarz i ręce podróżników, a umyć się nie łatwo, ponieważ woda jest tu rzeczą drogocenną, bo niekiedy starczy jej zaledwie na zaspokojenie pragnienia.

Widok tych pożarów jest za to zawsze przewspaniały.

Ilustracye: 1) „Stosownie do oświetlenia, zwierzyna wykazuje w jaskrawem świetle rozmaite — nawet prawie białe — ubarwienie, jak w tym wypadku samice gazelli Granta“. 2) „Liczne *sępy* przebywały w pobliżu obozu...“. 3) „Mój przewodnik lubił upiększać swe oblicze szminką“. 4) „Niekiedy okazywały się wspaniałe *gazelle Granta* mało bojaźliwemi...“. 5) „*Gazelle Granta* wędrują z Pori do otwartej Bogi“.

J. Kamieniusz.

Konkurs strzelców niemieckich.

(Rozbiór krytyczny).

(Dokończenie).

Rzecz naturalna, że każdy strzelec dąży do zdobycia pierwszej nagrody, jeden dla pieniędzy, drugi dla sławy. Ale nie należy uważać, że kto nie wziął pierwszej nagrody, nie jest wybornym strzelcem. Na dorocznych konkursach budzi zwykle zainteresowanie kwestya, czy zeszłoroczny zwycięzca zostanie nim także w roku bieżącym. Przypuszczać jednak należy, że przy obecnem, nader w Niemczech rozpowszechnionem, strzelaniu konkursowem, współzawodnictwo jest tak wielkie, iż, gdyby strzelano 8 dni z rzędu na oddzielne „mistrzostwa“, byłoby 8 różnych mistrzów, czyli każdego dnia inny.

Sport strzalania do gołębi glinianych zaczęto uprawiać w Niemczech w r. 1890. Dotychczasowa praktyka wykazała, że w związkach strzeleckich, liczących niewielu członków, zwykle jeden był mistrzem przez szereg lat z rzędu, doskonaląc się coraz bardziej w sztuce strzelania. Z czasem jednak zjawił się młody strzelec, bardziej energiczny, który zabrał dawnemu godność mistrza. Przez jakiś czas w Niemczech nie było konkursu, żeby na nim nie brali pierwszych nagród strzelcy: Geyger, Prehn, Schuster, Becker i Kreitling. Teraz warunki się zmieniły, występują nowe nazwiska, lecz w każdym razie wymagamy od dobrego strzelca, żeby, biorąc udział w konkursie, nie był znowu ostatnim ze strzelających. Kto dzisiaj strzela znakomicie, a jutro zupełnie kiepsko, ten nie jest klasowy i na takiego nie można liczyć; lepszym od niego jest strzelec średniej klasy, który nas nie rozczarowywa za bardzo.

Uderzający jest wiek zwycięzców na konkursie; prawie wszyscy mają zaledwie przeszło 30 lat, jeden tylko liczy przeszło 40. Strzelanie konkursowe do 100 gołębi wymaga silnych nerwów i wytrwałości. Starsi strzelcy może nieraz są sprawniejsi od młodych, ale nie nadają się do konkursu, trwającego od rana do wieczora.

Zwycięzca tegoroczny, dr. Albrecht, obok zręczności, jest tak w miarę nerwowy, że przez to strzela szybciej. Drugim z rzędu jest Giessel, odznaczający się zimną krwią i wytrzymałością. Ciekawa jest „karyera“ trzeciego strzelca: Stühmke przed pięciu laty nie znał wcale strzelania do gołębi, przed czterema — był początkującym, ciesząc się bardziej z 10 % trafionych, niż inny z 80 %; w zeszłym roku odpadł przy 25 gołębiu, a teraz jest wybitnym strzelcem.

Przy strzelaniu do krążków zajęczych wyróżnił się p. Kudell, mający wyborną strzelbę winchesterską. W strzelaniu kulami wykazali niezwykłą celność niektórzy leśniczowie. Mistrzem strzelania z pistoletów został zwycięzca zeszłoroczny, p. Block.

Co się tyczy broni, używanej do strzelania konkursowego, można było skonstatować olbrzymi postęp. Z małemi wyjątkami widzieliśmy doskonale wykończone strzelby, którym brakło jedynie elegancyi w modelu; gdyby ją miały, możnaby je zaliczyć do broni pierwszej klasy. Przeważała broń Browninga, która też dała najlepsze rezultaty.

Międzynarodowy turniej strzelecki.

W miejscowości kąpielowej nad morzem Bałtyckiem, Heiligendamm, odbywał się przez trzy dni, od 6 do 8 sierpnia r. b., bardzo ciekawy turniej międzynarodowy, strzelecki; strzelano do gołębi glinianych.

Konkursy były następujące:

1. *Strzelanie o mistrzostwo* do 100 gołębi asfaltowych na 14, 16, 18 i 20 metrów od maszyny wyrzucającej. Rezultat był następujący: 1) Konrad Eilers z Rostocka 79 gołębi; 2) Ernest Stuehmke z Charlottenburga 72 g.; 3) Zander z Królewca 71 g.; 4) Lorentz z Tuetzpatza 71 g.; 5) Gustaw Koch z Derenburga 69 g.; 6) Doetsch z Sandersleben 67 g.; 7) Dr. Matsko z Berlina 60 g.; 8) Hr. Bernstorff z Raguna 59 g.; 9) Wegner z Berlina 58 g. Gołębie wyrzucano bardzo szybko i poziomo w nieznanym kierunku; pozatem wiał silny wiatr boczny, wskutek czego strzelanie było bardzo utrudnione.

2. *Strzelanie kartowe* (do 10 kart a 10 gołębi, z czego 3 są nieważne?) na 15 metrów. 1) Stuehmke 28 na 30 gołębi; 2) Wegner 27 na 30 g.; 3) Lorenz 27 na 30 g.; 4) Eilers 27 na 30 g.; 5) Zander 27 na 30 g.; 6) Koch 26 na 30 g.

3. *Rozstrzelicanie się (handicap)* na 25 gołębi. 1) Doetsch 23 na 25 na 17 metrów; 2) Lorenz 19 na 25 na 19 m.; 3) Zander 19 na 25 na 19 m.; 4) Dr. Matsko 19 na 25 na 17 m.; 5) Kuhling z Berlina 18 na 25 na 15 m.; 6) Eilers 18 na 25 na 20 m.; 7) Hr. Bernstorff

18 na 25 na 16 m.; 8) Koch 17 na 25 na 19 m.; 9) Poensgen z Roegnitz 16 na 25 na 14 m.

Zwycięzcy otrzymali nagrody, których wartość wynosi razem 1,885 marek. Eilers strzelał na 14 i 16 m. ze strzelby Browninga, przyczem osiągnął seryę 22 trafionych bez pudła; na 18 i 20 m. — ze specyalnej strzelby na gołębie, firmy „Sauer et Sohn". Z pozostałych strzelców, sześciu miało strzelby Browninga, reszta—specyalne na gołębie. Naboi używano przeważnie „Saxonia" i głównie marki „Eilers". Przy konkursie o mistrzostwo posiłkowano się gołębiami asfaltowemi Franka, przy następnych — „Hubertus". Maszyn do wyrzucania używano wyłącznie Preussa.

K.

NA RYKOWISKU.

Do „Gazety Lwowskiej" piszą ze sfer łowieckich:

Zagrały już lesiste Karpaty jedyną w swoim rodzaju muzyką, nad którą myśliwskiemu uchu trudno o dźwięczniejszą. Z Tatarowa, u stóp Chomiaku i z ostępów Żabiowskich donoszą, że na dobre rozpoczęło się w tych dniach rykowisko jeleni. Wspaniały byk, przebywający w tych kniejach od lat kilku coraz gromadniej—tak gromadnie, że miejscami staje się szkodnikiem, — rozwarł gardziel, by miłosną gędźbą wyrwać jesień z głuchej zadumy.

W r. b. skutkiem silnych, acz krótkich, upałów w pierwszych dniach b. m., wcześniej nieco, niż zazwyczaj, wszystko, co jest liściem, poczęło na skrajach lasów karpackich przysychać i stroić się w te niezrównane barwy, jakie jesień przywdziewać zwykła zalotnie.

Jeleń w takiej porze schodzi z wyżyn i odważa się bliżej ku osadom ludzkim zapuszczać zagony. Jest już doskonale odżywiony, a także uzbrojony, rogi bowiem, służące mu równocześnie za ozdobę głowy i broń znakomitą, czas miały stężeć. Czuje się, dzięki temu, pewniejszy siebie; tak trwożny do niedawna, teraz popisuje się brawurą.

Królewski zwierz, zanim zima nadejdzie, a z nią nieustanna troska o jutro w głodzie i chłodzie, pragnie użyć uciech istnienia... Przez całe lato pracował nad nabraniem sił, by mieć o czem przetrwać śniegi i mrozy; teraz w pełnem sił posiadaniu, przeistacza się w trubadura miłości, rykiem dając znać o tem „piękniejszej połowie" swego rodu. Zapał unosi jelenia i opanowuje do tego stopnia, iż zapomina o zwykłych środkach ostrożności. Donośnym głosem wstrząsa knieje,—jest to zaś nietylko canzona truwerska ku czci wybranki, lecz także odzew bojowy pod adresem rywali. Niech tylko napotka ich na swej drodze, a zachrzęści zaraz korona rogów i zawre bój, pełen fantazyi, tak często tragiczny w swym wyniku.

Ale nawet w ferworze miłosnym o jednem nie zapomni jeleń: o niebezpieczeństwie, grożącem mu ze strony myśliwca. Daje wprawdzie temu groźnemu wrogowi znać o miejscu swego pobytu, potrafi jednak zbić go z tropu i chytrze wyślizgnąć się, kiedy sądzi, że już celu dopnie. Niestety, często trafia kosa na kamień i zgoła niespodzianie odzywa się huk strzelby, kula przeszywa rozkochane serce zwierza; wspaniały gigant leśny pada do stóp myśliwca, w którym z uczuciem tryumfu zrywa się na ten widok odruch żalu.

Jakiś czar demoniczny niemal, ogarnia myśliwca w noce i poranki, wśród kniej, słuchaniu rykowiska poświęcone. Cisnąc flintę do ramienia, ostrożnie, krok po kroku posuwając się naprzód, zdenerwowany obawą, że zwierz wymknie mu się, kiedy stanie nareszcie oko w oko przed nim, w tej jednej chwili znajduje sowitą zapłatę wszystkich trudów i lęków. Istotnie, chwila spotkania jest zenitem rozkoszy myśliwskiej na rykowisku. Bo samo powalenie ofiary budzi, jak wspomniano, bądź co bądź, pewne przykre także uczucia — i niegodzien byłby służby pod znakiem św. Huberta, kto nie poświęciłby ginącemu od jego kuli, jeleniowi rzewnego westchnienia.

Ale też szanujący swe rzemiosło myśliwiec nie da się nigdy porwać nierozumnej zapamiętałości wobec tego szlachetnego zwierza. Wie on, że lekkomyślne odstrzeliwanie mogłoby znowu przywrócić zażegnane szczęśliwie u nas, niebezpieczeństwo wymarcia jeleni. Dlatego też odstrzeliwa się je oszczędnie, nadmiernych spustoszeń nie dopuszczając.

Jak w Żabiem słychać, spodziewani są tam na tegoroczne rykowisko Sienkiewicz i Pochwalski, a niezawodnie i w Tatarowie nie zabraknie, jak corocznie, znakomitych gości, przybywających zdaleka, by hołd oddać borom karpackim i rogatemu tych kniej królowi.

Z POZNAŃSKIEGO.

(O sezonie letnim.)

Plaga włóczących się psów i kotów dała się tu silnie we znaki zwierzostanom. Ucierpiały one także z powodu ćwiczeń wojskowych i manewrów po polach i lasach. Kto widział, jak w lesie grunt pod drzewami wygląda po przejściu kilku batalionów wojska w butach, podkutych ćwiekami, ten łatwo pojmie, że tu musi zmarnieć każdy zajączek młody oraz ptactwo, mające gniazdo na ziemi. W Poznańskiem widzi się często kuropatwiane gniazda śród drzew wysokich, którędy przechodzi wojsko.

Ponieważ sarny dobrze przezimowały, przeto i czas linienia się wiosennego, oraz cielenia się przeszedł zupełnie normalnie. Często spotykało się kozy z dwojgiem młodych, z trojgiem jednak ani razu. Strzelanie do kozłów jest tem przyjemniejsze, że zaczyna się dopiero 16-go maja, gdy one są o wiele grubsze. Nowe to prawo przyczyni się znacznie do pomyślnego rozrostu kozłów. Mimo łagodnej zimy i bardzo dobrych warunków żerowania, rogi nie są tak rozwinięte, jak się można było spodziewać. W niektórych okolicach rogi są o wiele ładniej uperlone i szerzej rozrośnięte, niż dawniej, z przyczyny, że w tych rewirach dawne łąki błotne i bagniste o kwaśnych trawach przemieniano na łąki sztuczne o najlepszej trawie słodkiej, stanowiącej dla zwierzyny posilne i obiecujące żerowisko. Znaczne rozmnożenie się sarn miało ten skutek, że można było odstrzelić także kozy bez szkody dla zwierzostanu.

Zające podczas parkotów się miały wyborną pogodę, a przeto można się spodziewać świetnych rozkładów podczas sezonu polowania. Dopiero w końcu lipca były silne ulewy, powódź i dotkliwe grady, które jednak nie wyrządziły wielkich szkód zwierzostanom.

Kuropatwy spotyka się dobrze wyrosłe w licznych stadkach. Podczas wylęgania nie doznawały żadnych przeszkód. Otwarcie polowania odbyło się dnia 18-go sierpnia.

O bażantach nie można jeszcze wydać opinii, ponieważ późno się ukazują.

O innem ptactwie rzec wypada, że jest go tego roku mniej, niż dawniej. Szczególnie mało jest jaskółek. Również niewiele jest błękitnogrzbietów (kamieniczków), wilg, kukułek, dudków, a nawet pustułek i kobuzów, oraz puszczyków i sów. I dzikich gołębi jest tego roku mniej znacznie, natomiast wystąpiły licznie zięby i trznadle, dębosieki i wiewiórki.

Stan jeleni, który był upadł tutaj strasznie, zaczyna się polepszać. Jelenie płoszą często ludzie, szu-

kający po lasach jagód, grzybów i gałęzi. W lasach namnożyło się tego roku żmij; mimo to, wypadki ukąszenia są bardzo rzadkie. Wytępić żmij nie można, aczkolwiek władza naznaczyła nagrody za każdą zabitą.

O.

Z żałobnej karty.

† ś. p.

Władysław Zontak

b. kostusz muzeum im. Dzieduszyckich, zmarł dnia 29 sierpnia r. b. w Rymanowie, w 77 roku życia.

Zmarły należał do gal. Towarzystwa łowieckiego od czasu jego założenia i był członkiem jego pierwszego Wydziału. W latach ośmdziesiątych był dłuższy czas sekretarzem Towarzystwa i odpowiedzialnym redaktorem „Łowca".

Towarzystwo nasze traci w zmarłym wielkiego, dbałego zawsze o jego rozwój, przyjaciela, łowiectwo — wielkiego niegdyś myśliwego.

Zmarły brał udział przez wiele lat w tych wielkich i świetnych łowach poturzyckich, których pamięć przechowuje się dotąd w tradycyi i które złotemi głoskami zapisały się w historyi łowiectwa polskiego.

Jako kustosz muzeum im. Dzieduszyckich, położył zmarły wielkie zasługi około jego rozwoju i był długie lata dzielnym współpracownikiem założyciela tej instytucyi, ś. p. Eksc. Włodz. hr. Dzieduszyckiego.

W życiu prywatnem był miły, łatwy, uprzejmy, chętny do pracy dla każdej dobrej sprawy; gorący patryota kochał bardzo młodzież i szczególną otaczał ją opieką.

Cześć pamięci zasłużonego obywatela i myśliwego!

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 19 września. Towarzystwo hodowli psów rasowych w Petersburgu donosi, że żetony naszego Oddziału, przesłane na tamtejszą wystawę psów, rozdzielone zostały, jak następuje: żeton złoty otrzymał hr. Tołstoj za irlandzkiego settera *Rappo*, srebrny p. Małama za angielskiego settera *Robe de Blanche*, bronzowy p. Lede za pointera *Mab*.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki.)

W Poznańskiem na polowaniu w Bentlewie zabito w pięć flint 750 kuropatw i 125 królików. Królem polowania był pan nadleśniczy Mrukas, zabiwszy około 200 kuropatw i 25 królików.

Drobiazgi myśliwskie.

Okólnik. Czasowy general-gubernator gubernii kaliskiej rozesłał do naczelników powiatów i policmajstra miasta Kalisza cyrkularz następującej treści: Z powodu zbliżającego się sezonu polowania w pojedynkę z psem, proszę zawiadomić mieszkańców, że osoby, posiadające świadectwa na prawo polowania i posiadania broni myśliwskiej, mają prawo polować bez uprzedniego uzyskania na to pozwolenia, jednakże pod warunkiem, aby każdy z myśliwych posiadał przy sobie takie świadectwo i przedstawił na każde żądanie policyi, w przeciwnym razie broń zostanie natychmiast skonfiskowaną. Na polowanie z nagonką trzeba, jak dawniej, uzyskać stosowne pozwolenie.

Handel zwierzyną. Jeden z kupców warszawskich zwrócił się do magistratu z ofertą w sprawie wydzierżawienia mu placu za Żelazną Bramą, na urządzenie w ciągu nadchodzącego okresu zimowego, handlu zwierzyną.

Menażerya w Warszawie. Do magistratu zgłosił się przedsiębiorca, chcący wynająć placyk za Żelazną Bramą na pięć miesięcy, w celu urządzenia tam menażeryi.

Wybuch prochu. Straszny wypadek, wywołany uderzeniem pioruna, zdarzył się w porcie Montfaucon, pod Besançon, we Francyi. Piorun wpadł do magazynu prochu i spowodował wybuch, skutkiem którego cała prochownia wyleciała w powietrze, a fort został zburzony. Dziewięć osób, między temi dwóch oficerów, 3 żołnierzy i cztery osoby cywilne, poniosło śmierć na miejscu, około piętnastu jest rannych, przeważnie ciężko. Zwłoki zabitych są straszliwie okaleczone, w części zupełnie rozszarpane.

Między zabitymi znajduje się rolnik p. Farny, który polował w odległości 200 m. od fortu; spadający, skutkiem wstrząśnienia, spowodowanego siłą wybuchu, odłam skały, zmiażdżył mu głowę. Z kazamatów, otoczonych warstwą ziemi na 10 m. wysoką i murem grubym na 1 m., nie pozostało śladu. Odłamy skały padały na odległość setek metrów; stos gruzów na dziedzińcu fortu ma 20 m. wysokości, szkody wynoszą $2\frac{1}{2}$ mil. fr. Według obliczeń przypuszczalnych, wyleciało w powietrze 80,000 kilogr. prochu.

Ząb mamuta, długości półtora metra, odnaleziono przy robotach ziemnych w Hamburgu. Ząb ten niezwykłej białości, ma kształt dobrze zgiętej szabli.

Zabity przez słonia. Jak donoszą dzienniki francuskie, w Hongmai, w Indo-Chinach, podczas polowania na słonie rozjuszony słoń schwycił trąbą naczelnika kolei, Monnarda, rzucił go o ziemię i zgniótł na miazgę.

Koncert gołębi. Mandaryni państwa niebieskiego trzymają w swych miejskich rezydencyach w pobliżu Pekinu liczne, nieraz setki sztuk liczące, stada gołębi. Przy unoszeniu się tych stworzeń w powietrze, dają się słyszeć tony, jakby arfy eolskiej. Dźwięki te powodują cieniutkie struny, przymocowane do mocnych piór pod skrzydłami gołębi, co nie sprawia im najmniejszego bólu. Na obcokrajowców, znajdujących się po raz pierwszy w Pekinie, zachwycający ten powietrzny koncert gołębi sprawia szczególnie miłe wrażenie.

Zmiana terminów polowań. Wydziały krajowe w Lignicy, Opolu i Merseburgu (w Prusach) zmieniły terminy otwarcia polowań na kuropatwy, przepiórki i pardwy szkockie (*grousy*). W pierwszych dwóch miejscowościach polowanie będzie się zaczynało d. 20-go sierpnia, a nie d. 27, w ostatniej d. 22, zamiast d. 27. Za przykładem pierwszych na Szlązku poszedł także okrąg wrocławski. Obecnie więc w całej prowincyi szlązkiej otwarcie odbywć się będzie o tydzień wcześniej.

Oryginalna kolekcya broni była wystawiona na zjeździe związków myśliwskich saskich w Quedinburgu. Składała się z 78 okazów broni palnej ręcznej, najrozmaitszych systemów i kalibrów, począwszy od prymitywnych pukawek, sporządzonych przez niefachowców, do najnowszej broni odtylcowej (iglicówek). Zbiór nie miał na celu poglądowego przedstawienia rozwoju technicznego udoskonalenia fabrykacyi broni, lecz dał obraz uzbrojenia kłusowników. Wszystkie wystawione okazy poodbierano swego czasu różnym kłusownikom w rewirze myśliwskim d-ra Alberta Munchehoffa.

Niedźwiedzie w cyrkule policyjnym. Ostatnie numera gazet francuskich przynoszą nam opis niezwykłego zdarzenia. Do miasta Rouen zjechała koczująca trupa poddanych tureckich, która, między innemi atrakcyami, miała też i niedźwiedzie. Jedna z członkiń trupy, nazwiskiem Iwanowicz, ubliżyła agentowi policyjnemu, który ją aresztował i odprowadził do cyrkułu. Koledzy aresztowanej otoczyli biuro, domagając się uwolnienia Iwanowiczowej, a gdy tego dopiąć nie mogli, sprowadzili niedźwiedzie i puścili je do biura. Wszyscy, znajdujący się tam agenci i urzędnicy pouciekali, a niedźwiedzie rozpoczęły gospodarkę, wywracając wszystkie meble, rozlewając atrament i rozrzucając papiery. Dopiero, gdy policya zagroziła, że postrzela „misie" z rewolwerów, pomysłowi Turcy usunęli niebezpieczne zwierzęta. Iwanowiczowa zyskała tyle, że ją wsadzono do więzienia.

Wilki w Prusach. Dziennik, wychodzący w Ełku (*Lyck*) w Prusach wschodnich, donosi: W niedzielę d. 5 sierpnia wieczorem, dwóch ludzi, spacerując w lesie pod Golupken (Gołąbki ?), usłyszało szmer podejrzany; przypuszczali jednak, że głos wydaje sarna żerująca. Gdy, w celu przekonania się, krzyknęli, ujrzeli silne zwierzę, do psa podobne; przypatrzywszy się lepiej, poznali w niem wilka. Nazajutrz w tejże okolicy pastuch pilnował owiec i bydła. Nagle zjawił się wilk i porwał owcę; chłopiec wszczął alarm, wskutek czego wilk uląkł się i wypuścił owcę, lecz natychmiast porwał młode jagnię i uciekł do lasu. Urządzona obława nie dała wyniku pożądanego. W pobliskim Gąsiorowie wilk rzucił się również na owcę, której rozdarł grzbiet, lecz został odparty. Mieszkańcy tych stron, udając się do lasu, mają zawsze przy sobie broń palną, albo tęgą pałkę.

Zmyślony wypadek gen. Krieghammera. Pierwsze wieści, jakie przyszły o zgonie b. austryackiego ministra wojny, gen. Krieghammera, doniosły, że umarł skutkiem upadku z konia na polowaniu. Potem „Pesti Naplo" donosiło, jakoby z wiarogodnego źródła, że zgon b. ministra nastąpił z powodu rany, jaką odniósł na polowaniu dworskiem w okolicy Ischlu w d. 27 lipca. Uczestniczący w tem polowaniu wnuk cesarza, syn arcyksiężnej Gizeli, książę bawarski Jerzy, nieszczęśliwym trafem miał postrzelić generała w nogę. „Kula utkwiła w biodrze, a ponieważ nie można było jej wydobyć, spowodowała śmierć gen. Krieghammera: wypadek ten wywołał w sferach dworskich wielkie wrażenie". Tymczasem lekarz przyboczny cesarza Franciszka Józefa zaprzecza pogłosce, jakoby b. austryacki minister wojny, gen. Krieghammer, zmarł skutkiem rany, otrzymanej na polowaniu. Przyczyną śmierci był uwiąd starczy.

Gołąb roznosicielem recept. W Bostonie żyje pewien oryginalny lekarz, który, idąc do pacyentów, zabiera z sobą koszyk, napełniony gołębiami. Po zbadaniu chorego i przepisaniu mu odpowiednich środków, eskulap przywiązuje receptę gołębiowi pod skrzydełko i wypuszcza go na ulicę. Ponieważ gołębie są własnością aptekarza, więc natychmiast powracają do domu, gdzie im odbierają recepty, a pospiesznie przyrządzone lekarstwa, rozwozi na rowerze, podług wskazanych adresów, posługacz aptekarski. Tym sposobem chorzy bardzo szybko otrzymują zalecone im środki.

Przejechany niedźwiedź. W tych dniach w tunelu między Worochtą a Zemirem pociąg przejechał młodego niedźwiedzia. Maszyna przecięła zwierzę przez pół. Straszny ryk niedźwiedzia spowodował zatrzymanie pociągu.

O sprawności strzelców amerykańskich pisano już nieraz. Jeden z najlepszych strzelców do gołębi w Ameryce, Fred Gilbert, wykazał jednak niedawno sprawność, którą nazwać należy więcej, niż wybitną. Przez dwa tygodnie strzelał w pięciu różnych stanach Ameryki w 11 strzelnicach. Odległość strzału wynosiła 21, względnie 22 yardów (19,2 wzgl. 20 m.). Oddzielne rezultaty były: d. 1 w Pitisfield 148 na 150, d. 2 Fitschburg 96 na 100, d. 3 Henniker 165 na 175, d. 4 Auburn 193 na 200, d. 5 Portland 188 na 200, d. 6 Lawrence 194 na 200 (ostatnie 90 bez pudła), d. 7 South Framingham 135 na 135, d. 8 Newport 196 na 200, d. 9 Danburg 122 na 125, d. 10 Norwich 198 na 200 (121 i 67 bez pudła), d. 11 Springfield 184 na 200; we święta nie strzelał. Gilbert ubił przez 11 dni razem 1,819 gołębi na 1,885 — $96^1/_8$%, używając tylko jednej lufy swej dubeltówki „Parker". W Spirit Lake, Jowa, zabił nawet z odległości 18 m. 392 gołębi bez pudła.

Ze stosunków myśliwskich w Szwajcaryi. Niedawno daliśmy krótką wzmiankę, że podano pod plebiscyt projekt rządowy, ażeby w kantonie Lucerny zmieniono system patentowy na dzierżawny w rewirach gminnych, jak to już uczyniono w niektórych innych kantonach. Plebiscyt jednak odrzucił projekt. Z tego powodu pismo szwajcarskie „Dyana" występuje ostro przeciw wynikowi głosowania. „Dyana" zestawia dochody gmin w r. 1905. Lucerna, która odrzuciła system dzierżawny, miała ze systemu patentowego dochód po 6 franków 10 ct. od kilom. kw., czyli razem 13,212 fr., podczas gdy kanton Aargau przy jednakowym obszarze, stosując system dzierżawny, miał po 80 fr. 65 ct. od kil. kw., czyli 112,908 fr., a zatem o prawie 100,000 fr. więcej rocznie, co dla niedużego kantonu czyni znaczną różnicę.

Czy zwierzęta płaczą? Przez długie czasy podawano w wątpliwość, czy zwierzęta są zdatne do płaczu. Najświeższe badania jednak stwierdziły, że niektóre zwierzęta mogą płakać. Sven Hedin w swojem dziele o podróży do wnętrza Azyi, podaje spostrzeżenie, że wielbłądy, gdy czują zbliżający się koniec życia, płaczą tak rzewnie, że człowiek nie może patrzeć na to bez wzruszenia. Dalej opowiada pewien współpracownik czasopisma „*Gazette Médicinale*", że krowy także płaczą. Z tych przykładów nie można jeszcze wnosić, że wszystkie zwierzęta ssące są zdolne do płaczu, u niektórych bowiem brak nawet kanału łzowego. Wogóle rzeczą jest dziwną, że dotąd zoologowie i anatomowie nie zbadali tej sprawy i że co do tak uderzających objawów brak wszelkich szczegółów.

Polowanie na tinamou w rzeczypospolitej Argentyńskiej. P. Plottier, Francuz, zamieszkały w Argentynie, podaje w jednym z ostatnich numerów „La Chasse Illustrée" rezultat dwudniowego polowania w trzy strzelby w pampasach Argentyny. Zabito ogółem 464 sztuk tinamou, rodzaju miejscowych kuropatw, które przed laty ośmiu starano się zaaklimatyzować w Europie,—o ile wiemy ze złym skutkiem. Tinamou w Argentynie trzymają się na polach kukurydzy, pszenicy i lucerny. Myśliwi polowali z wyżłami (setterami i pointerami), gdyż polowania z naganką są tam nieznane. Ten piękny rozkład uzupełniło kilkanaście zajęcy, które, sprowadzone z Europy, zaaklimatyzowały się tam znakomicie.

Trofeum hr. Ponińskiego. Wspomnieliśmy już pokrótce o trofeum hr. Ponińskiego w Nr. 18 „Łowca Polskiego". Obecnie uzupełniamy wzmiankę szczegółami następującemi: W pobliżu Kołobrzega krążył potężny ptak drapieżny nad stadem owiec; starzy i młodzi zbiegli się, by zobaczyć to zjawisko niezwykłe; ptak niezadługo zapadł na łączce w pobliżu owiec, nie zwracając uwagi na przypadkowo znajdującą się

tam kózkę, przywiązaną do kołka, ani na zbiegowisko ludzi. Wówczas to udało się hr. Ponińskiemu strzelać przez okno owczarni i ubić ptaka. Po bliższem zbadaniu okazało się, że to sęp o gołej szyi, z białą kryzą szyjną, potężnym, krótkim dziobem, ogromnemi szponami i rozmiarem skrzydeł rozłożonych 2,75 m. Preparator, Otto Bock z Berlina, określił go jako sępa kapturowego, *Vultur cinereus*, który jedynie na Węgrzech buduje sobie gniazdo, a ubicie go w Niemczech jest wielką rzadkością. Prawdopodobnie przypędziła go burza, która tam szalała przed pewnym czasem.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Myśliwy

1. Dobry myśliwy — zły rolnik.
2. Dwadzieścia myśliwych, dwadzieścia malarzów, pogrzebnych kaznodziejów — kopa łgarzów.
3. Jedno dziesięć poetów, drugie młynarzów, trzecie myśliwców, mówią, że pół kopy łgarzów.
4. Każdy myśliwy krwi chciwy.
5. Kto myśliwy — do trąby, nabożny — do księgi, gospodarz — do motyki, gach zawsze do wstęgi.
6. Myśliwiec, w domu pogody czekający, kmieć bez dozoru robiący, sobie, niż panu dogadza zawżdy—pewnie z nich każdy utraci.
7. Myśliwi zjedzą wołu, a ptaszka zabiją.
8. Myśliwy—próżliwy: ptaszka upoluje, a wołu by zjadł.
9. Myśliwy z półmiska.
10. Myśliwy z torbą na śliwy.
11. Na myśliwego zwierzyna wychodzi.
12. Doma strojny, na wojnie bojny, u dworu myśliwy, w karczmie swadliwy, nigdy nic wskóra.
13. Koń ogonem wiercący, myśliwiec pogody czekający, kmieć bez dozoru robiący — mało warci.
14. Łże, jak myśliwy.
15. Z rybaka, myśliwego, młynarza nie będzie dobrego gospodarza.

Niedźwiedź

1. Jak niedźwiedź głaśnie, to aż w krzyżu trzaśnie.
2. Jak niedźwiedź łapą pogłaszcze, to się i żartów odechce.
3. Jak niedźwiedź mruczy, tak dzieci uczy.
4. Kiedy niedźwiedzia prowadzono do miodu, tedy mu uszy oberwano; a kiedy od miodu, tedy ogon.
5. Kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go, gdzie chcesz, za nos powiedziesz.
6. Kiedy niedźwiedzia uderzy gałąź, tedy ryknie, a kiedy go drewo przywali, tedy milczy.
7. Niedźwiedź srogo na żołądź ryka, gdy gałąź spadnie, milczkiem umyka.
8. Kto jedzie na niedźwiedzia, niech sobie łóżko gotuje, a kto na wieprza, niechaj grób.
9. Na niedźwiedzia łóżko, a na dzika trumna.
10. Łóżko brać na niedźwiedzia, na odyńca mary, kurę smiele bierz z kojca, każe łowiec stary.
11. Matusiu, rozświeć świeczkę, bo niedźwiedź w komorze.
12. Na niedźwiedzia skórę pije, a niedźwiedź jeszcze w lesie.
13. Niedźwiedzia nie zabił, a skórę jego sprzedał.
14. Niedźwiedzia za uszy do miodu nie ciągną.
15. Niedźwiedzie tany, wilczy śpiew, dziadowski płacz, to jeden bies.
16. Niedźwiedź łapę tylko ssie, a całą zimę syt bywa.
17. Niedźwiedź niedźwiedzia nie kąsa.
18. Niedźwiedź pszczoły wydarł, a na wilka krzyczą.
19. Nie przedawaj niedźwiedzia, aż będzie zabity.
20. Niedźwiedź zdechł, dudy u ziemię.
21. Nierad niedźwiedź, kiedy go od miodu odciągają.
22. Sztuka niedźwiedzi tłuka.
23. Winien niedźwiedź, że krowę zjadł; winna też krowa, że do lasu poszła.
24. Na niedźwiedzia z doktorem, a na dzika z trąbą.
25. Na niedźwiedzia trzeba iść z felczerem, a na dzika z księdzem.
26. I niedźwiedzie afekt wiedzie.
27. Chodzi, jak niedźwiedź bilewiczowski.
28. Ciepło, jak w niedźwiedzim uchu.
29. Drzemie, jak niedźwiedź w zimie.
30. Głaszcze, jak niedźwiedź.
31. Głowa, jak u śledzia, nogi, jak u niedźwiedzia.
32. Na gromniczną Maryą niedźwiedź budę rozwali, albo poprawi ją.
33. Póty komar koło głowy brzęczy, póki niedźwiedź łapy nie podniesie.
34. Koń w gębie zraniony, człowiek w majętność uszczerbiony, niedźwiedź w lesie rozdrażniony,— bez folgi wiele ważą się.
35. Kosmaty, jak niedźwiedź.
36. Nie igraj kotku z niedźwiedziem.
37. Nie mieć się na niedźwiedzia, kocie zagorzały, tyś niewielkie stworzenie, a niedźwiedź niemały.
38. Kto się bawi lasem, lepiej niedźwiedzie, niż ludzi pamięta.
39. Uchodząc przed lwem, wpadł na niedźwiedzia.
40. Drugiego lutego niedźwiedź budę rozwala, albo ją naprawia.
41. Łamią się (walczą), jak niedźwiedzie.
42. Łapę lizać (lub: ssać), jak niedźwiedź.
43. Mruczy, jak niedźwiadek.
44. Mrukliwy, jak niedźwiedź.
45. Obrosły, jak niedźwiedź.
46. Odmruknął, jak niedźwiedź borowy.
47. Ma pamięć, jak u niedźwiedzia ogon.
48. Porwała się mucha na niedźwiedzia.
49. Koniu post miły, niech gryzie śledzia; pan zje niedźwiedzia.
50. Prowadzą się, jak niedźwiedzie w taniec.
51. Silny, jak niedźwiedź.
52. Skacze, jak niedźwiedź na łańcuchu.
53. Skórę sprzedaje, a niedźwiedź w lesie.
54. Spasły, jak niedźwiedź.
55. Ze szwagrem na zające, z bratem na niedźwiedzia.
56. Tańczy, jak niedźwiedź na linie.
57. Na wilka ze szwagrem, na niedźwiedzia z bratem.
58. Wodzi go za nos, jak niedźwiedzia.
59. Dziki, jak niedźwiedź borowy.

(*C. d. n.*).

Treść Nr. 19 „Łowca Poiskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" S-to Krzyska 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 20. *Warszawa, d. 16 Października 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).